

## Molenda Katarzyna

### Cyngiel

„Fantastyka – kwiecień, maj 1990

Nie była specjalnie ładna ani pociągająca, ale kiedy poprosiła, żebym z nią poszedł - zgodziłem się od razu. Nie było zresztą wielkiego wyboru - parę staruszek, kilka mężatek, oblepionych od góry do dołu dziećmi i przyszczate, kanciaste nastolatki.

Milcząc przeszliśmy przez kwadratowy rynek, wzdłuż wąskiej ulicy, zasłanej podartymi plakatami z szachownicą, potem polną drogą, obsadzoną mizernymi krzewami głogu. Jej bose stopy wzniewały małe obłoczki kurzu, które zastygały przez chwilę w gorącym powietrzu, aby w końcu oprószyć czubki moich butów. Nie liczyłem na zbyt wiele i nie zastanawiałem się, jak będzie.

Postanowiłem pozostać tutaj.

Miałem dwie kobiety. W przytułku w Clinton, w którym wychowywałem się odkąd pamiętam - czyli od zawsze - nauczyłem się wielu pożytecznych rzeczy. Kłamać, walczyć na pięści, brzytwy, miotacze z podpalonych dezodorantów, wspinać się po rynnach lub wyciągać z cudzej kieszeni to, co akurat wpadło mi w oko. Nie wiedziałem tylko, jak postępować z kobietami.

Kiedy wychodziliśmy na spacer - rozbiegały się na nasz widok jak gromadka spłoszonych wróbli. Wyzywaliśmy je od dziwek, czasami gorzej, nieraz usiłowaliśmy ciskać w nie kamieniami, a kiedy za karę ograniczono nam wyjścia - wariowałem, marząc o dziewczynie z policzkiem ufnie opartym o moje ramię.

Meryl Jonson nazywano "Piper", bo przepadała za tym gatunkiem whisky, wlewała ją w siebie w nieprawdopodobnych jak na kobietę ilościach, rozcieńczając skąpo wodą z kranu. Poznałem ją mając dwadzieścia dwa lata, byłem już wtedy cynglem Hesterbridge'a i razem z kumplami przychodziliśmy wieczorami do baru "U Eda".

Hesterbridge prowadził z nami zajęcia, przy których West Point było przedszkolem dla grzecznych dzieci, a szkolenie służb specjalnych można było bez cienia przesady porównać do prowincjonalnego college'u. My - cyngle, mieliśmy za sobą bez wątpienia uniwersytet.

Kiedy wchodziliśmy do baru "U Eda" - natychmiast robiło się cicho. Tylko Piper nie przejmowała się nami - i pewnie dlatego zwróciłem na nią uwagę. Była najbardziej czarnoskórą Murzynką, jaką w życiu widziałem, a jej twarz przypominała okrągłą, okopconą patelnię. Nigdy jednak nie spotkałem kobiety, która tak potrafiłaby chodzić. Miała szczupłe, długie nogi, o pięknie sklepionych kostkach i jędrnych udach, pośladki jak marzenie onanisty i skaczące piersi. Nieraz widywałem facetów - dobrze ubranych i porządnie wyglądających - którzy fundowali Piper whisky, prosząc tylko o jedno - aby przeszła kilka razy przez zatłoczony i zadymiony bar.

Pewnego dnia zdobyłem się na odwagę i poprosiłem ją, żeby przeszła się nieco dalej. Chciałem jej dać trochę pieniędzy, ale śmiertelnie się obraziła twierdząc, że spacer do mojego łóżka to zupełnie coś innego niż kręcenie tyłkiem dla tych starych, obleśnych typów "U Eda". Wyszła po trzech godzinach, zostawiając mnie zupełnie pokonanego, zmęczonego i rozbitego; litościwie nie dopiła whisky, abym mógł doprowadzić się do porządku. Powtarzaliśmy to potem kilkanaście razy i zawsze mnie pochłaniała, niszczyła, pozerwała ta moja kanibalka - Piper z West Street. W końcu przestałem przychodzić do Eda. Przez chłopaków przesłałem jej tylko czerwone róże z końcami zawiniętymi banknotem. Przypadkiem dowiedziałem się, że Piper z rozbebeszonym brzuchem znaleziono pod barem, parę dni temu. Wojna - wojną, ale jestem pewien, że to jeden z tych facetów, którzy fundowali jej drinki dopadł ją w końcu i zemścił się za pogardę, z jaką spoglądała z wysokości barowego stołka.

Wojna zaczęła się szybko, a jeszcze szybciej skończyła. Nowym Prezydentem został czarnoskóry Jeremiaś Pope. Tydzień później jakiś biały świrus nie wytrzymał i wygarnął do niego, zakłócając

uroczysty miting. Ludzie z obstawy Prezydenta nie popisali się silnymi nerwami. Puścili serię w tłum. Zabójca jakoś się wymknął, za to dostało kule dwóch senatorów z Południa, biskup, kilka pań zajmujących się dobroczynnością, 'wschodząca' gwiazda filmowa z niewiarygodnie długimi rzęsami, jej mąż oraz jeden z trzech właścicieli koncernu Forda.

Opinia publiczna zawrzała. Pierwsza Anglia, potem Francja i Dania urządziły demonstrację pod hasłem "Czarnuchy do domu". Polała się krew. U nas - zmasakrowano czarnego zakonnika. Po godzinie - w tym samym miejscu - złożono pięć martwych ciał białych kobiet. W Harleemie zza barykad złowieszczo wyglądały okrągłe oczy i łufy. Po jednej stronie reaktywowały się Czarne Pantery, po drugiej wyciągano z kufrów na strychu stare kaptury Ku-Klux-Klanu. Dziecinne zabawy.

My - biali - okazaliśmy się jednak w ostatecznym rozrachunku strasznymi megalomanami, ze swoim poczuciem, że trzymamy w szachu cały świat głowicami termojądrowymi. Czarni - sięgając do prostej wiedzy szamanów - wyprodukowali coś bardziej skutecznego, coś, co potem nazwaliśmy "kurarą na przemysłową skalę". Jeden mały pojemniczek z tym świństwem został rozbity w Anglii. Efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania. Wojna skończyła się po tygodniu. W Europie i Azji nie zostało ani jednego żywego człowieka.

Moja żona - Jane - znajdowała się właśnie w Paryżu.

Miałem dwadzieścia pięć lat, kiedy zostałem zaproszony na przyjęcie do samego Jo Page. Skończyłem właśnie ostatni etap szkolenia z Hesterbridgem. Nauczył mnie sztuki dobierania właściwych win do zakąsek i właściwych zakąsek do głównego dania, umiałem wybrać odpowiedni krawat do garnituru, dawać napiwki i znałem na tyle francuski, aby poradzić sobie w restauracji z kartą potraw. Dostałem wytłaczany portfel z cielecej skóry, komplet do pielęgnacji paznokci i listę książek, które muszę przeczytać.

Jane urządziła nowe mieszkanie Jo Page'a. Była początkującą dekoratorką wnętrz i czuła się okropnie speszona. Na tle całego ogromu niklowo-plastikowych konstrukcji, które spiętrzyła wśród ścian, wyglądała jak mała, przestraszona dziewczynka. Ktokolwiek zwracał się do niej z gratulacjami - wyglądała tak, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem. Rozczuliła mnie swoją wrażliwą delikatnością i w dwa miesiące później została moją żoną. Wstawała zawsze wcześniej niż ja, pędziła do klientów, biegała po magazynach, potrafiła zawzięcie targować się w małych sklepikach, wygrzebywała spod ziemi tanie drobiazgi - chociaż nie musiała tego robić, bo Hesterbridge płacił mi doskonale. Miała wiele werwy i świetną kondycję. Bywaliśmy na przyjęciach z bardzo ważnymi ludźmi, poznałem kilku milionerów i kilku znikomych plastyków, aktorów i przedsiębiorców, których domy Jane zastawiała tandetą w stylu japońskim lub pośpiesznie charakteryzowała na kajuty "Mayflowera", a w knajpach nareszcie mogłem wypróbować moją francuszczyznę. Myślę, że Hesterbridge byłby ze mnie zadowolony.

Tylko w łóżku nam nie wychodziło. Jane, okryta skromnie prześcieradłem, jadła podłużne, miętowe pomadki i tłumaczyła mi, zlizując z palców czekoladowe plamki:

- Widzisz, Mark, jeżeli ludzie się kochają, tak jak my - prawda? - to seks nie jest aż tak ważny.

Najważniejsze jest wzajemne zrozumienie, tolerancja, akceptacja...

Do pewnego czasu przytakiwałem jej, a potem wszystko między nami ostygło i bez uczucia żalu odprowadziłem Jane w nowym, fiołkowo-czarnym kostiumie na lotnisko.

W końcu doszliśmy do jej domu, niezgrabnego i przysadzistego jak stodoła, już w przedpokoju zaczęła zdejmować sukienkę i odwróciła się, nie patrząc jak szarpie guziki od kurtki.

To, co się zdarzyło potem na niskim, zarzuconym kocem łóżku było snem, moim snem. Pasowaliśmy do siebie jak dwie połówki rozdartego banknotu i długo patrzyłem na nią w pełnym zachwyty milczeniu. Nie pytała mnie o nic, ale ponieważ była skazana - mogłem opowiedzieć jej wszystko.

Europa i Azja konały w męczarniach - ślepnąc, puchnąc i rzygając. Pary zakochanych trzymając się za ręce skakały z najwyższych pięter budynków, kobiety szpikowały swoje dzieci tabletkami nasennymi, aby uchronić je od koszarnej agonii, mężczyźni rozwalali się samochodami, wieszali na drzwiach swoich domów, a stare panny otwierały gaz i wsadzały głowę do piecyka. Nie było żadnego ratunku. Czarni żołnierze Armii Nowego Wyzwolenia umierali tak samo jak biali - nie nacieszywszy się swoim zwycięstwem. Ciało Jane - bezwładne i opuchnięte - gniło gdzieś na paryskiej ulicy.

Hesterbridge obwołał się Prezydentem Tymczasowym i stworzył Komitet Ocalenia. Pierwszy raz musiałem ubrać się w mundur, w zwykły, wojskowy, polowy mundur. My - wszyscy cyngle - staliśmy za plecami Hesterbridge'a. A na wiecu przed Białym Domem tworzyliśmy formację, na widok której przeciwnicy wycofali się pośpiesznie, zostawiając nam wolną rękę i władzę nad światem. Przy utrzymaniu

się takiej cyrkulacji powietrza mieliśmy około czterech dni i jeżeli rzeczywiście czas działania "kurary" wynosił około miesiąca - była to jakaś szansa, tylko...

- Mów dalej - poprosiła.

Powiedziałem, że jest wspaniała, ale chyba nie na to czekała. Przyniosła mi trochę letniej wódki w szklance, dołała wody z kranu - zupełnie jak Piper.

Zachowywała się tak, jakby chciała dodać mi odwagi, z wdzięcznością pogłaskałam ją po chudym przedramieniu, pocętkowanym śladami po wkłuciach.

Natychmiast zaczęliśmy ewakuację ludzi. Upychaliśmy ich w schronach, w których mogli spokojnie przesiedzieć rok - a nie tylko miesiąc. Tylko przedtem dowiedzieliśmy się, że miejsc nie wystarczy dla wszystkich. Nie wystarczy ich nawet dla połowy obecnie żyjących. My, wojsko, policja - wszyscy otrzymaliśmy od Hesterbridge ten sam rozkaz.

- Tylko zdrowe, młode, płodne kobiety, zdrowe dzieci i silnych mężczyzn. Reszty możecie po prostu nie zabrać. Żadnych cukrzyków, gruźlików, narkomanów, kryminalistów, chorych psychicznie czy po prostu chorych na gripę, nie zwracajcie sobie głowy pacjentami żadnych szpitali, ludźmi powyżej pięćdziesiątego roku życia i nikim, kto wyda wam się chory, głupi albo po prostu niesympatyczny.

Specjalnie opowiedziałem to tak dokładnie, rzeczowo i beznamytnie. Siedziała spokojnie, wpatrzona we mnie, kolana podciągnęła pod brodę. Nad jej głową wisiał plakat z szachownicą, na której białe pionki zepchnęły czarne pionki na sam skraj pola. Nawet nie zapytała, co mam zamiar dalej robić.

Ewakuacja dobiegała końca i powinniśmy jak najszybciej się zwinąć. Dwie ciężarówki pełne ludzi podjechały już do Tenesville. Pozostali będą czekać, wyglądać, wychodzić na szosę - zanim nie zrozumieją. Będzie wśród nich pani Backstone, w starannie odprasowanej granatowej sukience, szczupła i schludna.

- Kiedy zobaczyłam cię z daleka - stwierdziła - byłam przekonana, że to mój syn. Wybacz starej kobiecie, ale jesteś do niego podobny jak dwie krople wody - jej dłoń przez krótką chwilę zanurzyła się w moich włosach, potem zmieszana poklepała mnie po ramieniu i pośpiesznie odeszła.

- Chcę tutaj zostać - powiedziałem.

Podniosła się, pocałowała mnie i wyszła, długo siedziałem sam w dużym, dusznym pokoju, przesyconym zapachem naszych ciał, a kiedy wreszcie poszedłem jej szukać, okazało się, że byłem spóźniony o kwadrans. Skonała właśnie, leżąc w kałuży rzygowin, igła pozostała wbita i na podłogę miarowo kapąły ciemne krople krwi. Skaleczyłem stopę szkłem z rozbitych ampułek. Nawet nie wiem, jak miała na imię.

W ogrodzie wryłem płaski dół i przysypałem ją cienką warstwą piachu. To był wspólny grób - dla Piper z rozdartym brzuchem, dla Jane w fiołkowo-czarnym kostiumie, dla pani Backstone i dla mnie.

Pogoda jest ładna. W nocy padał deszcz, powietrze jest chłodniejsze, wreszcie skończył się ten cholerny upał. W jej bibliotece znalazłem książkę z listy, którą wręczył mi kiedyś Hesterbridge. Wieczorem pani Backstone przyniesie mi kolację i chyba spędzimy trochę czasu nad jej rodzinnym albumem w safianowej oprawie.

Hesterbridge pewnie cieszy się, że zostałem gdzieś na trasie, teraz jestem dla niego tylko niewygodnym świadkiem.

To ja byłem tym świrusem, który załatwił Jeremiasha Pope.

Łódź, styczeń 1989  
Katarzyna Molenda